TATERNIK

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

ROK 1915—1921

REDAKTOR: DR. MIECZYSŁAW ŚWIERZ

KRAKÓW 1921
NAKŁADEM SEKCJI TURYSTYCZNEJ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

Wycieczki górskie w Szkocji*).

... Korzystając z pogody udałem się na dworzec w Glasgowie i nabyłem bilet do miejscowości Balloch na południowem wybrzeżu jeziora Loch Lomond. Jazda koleją nie była zbyt ciekawą: poza widokiem na rzekę Clyde oraz na zamek Dumbarton, malowniczo na wystającej buli skalnej położony, nie widziało się nic szczególnie interesującego. Tem większe nadspodziewanie wrażenie ogarnęło mię, gdy, po przybyciu do Balloch, znalazłem się na pokładzie parowca, właśnie do odjazdu gotowego.

Już sam — pełen zachwytu — opis z przewodnika książkowego podsycił moje nadzieje; to jednak, co ujrzałem, kiedy parowiec począł pruć stalowo-błękitne fale jeziora — ta piękność krajobrazu przeszła moje najśmielsze oczekiwanie. Południowa część jeziora, dość szeroka, posiada brzegi płaskie i niskie, okryte pięknemi, o soczystej i bujnej zieleni lasami. Ku północy jezioro zwęża się, z obu stron dźwigają się strome, wyniosłe góry, ponad któremi panuje przedewszystkiem szczyt Ben Lomond; między niemi lśni się srebrzysta tafla jeziora... znikająca hen w dali poza wrzynającym się głęboko w toń filarem skalnym. Najbardziej uroczo wyglądały małe wysepki, w pobliżu których przejeżdżaliśmy. Tu wystawały z wód łyse, zczerniałe rafy skaliste, tam kilka, wichrem zgiętych sosen chwiało się na szczycie skały, ówdzie znowu ukazywała się wysepka, pokryta bujną roślinnością, której nieprzebyta gęstwa drzew liściastych i szpilkowych, krzewów i paproci o wielkości człowieka, nosiła dziki, romantyczny charakter lasów dziewiczych.

Niestety nazbyt krótko trwała ta piękna, pełna urozmaicenia jazda. Niebawem przybyliśmy do miejsca mego przeznaczenia B a l m a h a, skąd po dwugodzinnej rozkosznej przechadzce wzdłuż jeziora dotarłem do zajazdu Rowardenan, w którym przepędzić miałem noc, by nazajutrz wyruszyć na B e n L o m o n d, najwyższą w całej okolicy górę.

Nocą lunął potężny deszcz, na szczęście jednak rano znowu zabłysło słońce. Ruszyłem tedy w drogę ku Ben Lomond, w towarzystwie jakiegoś młodego Anglika, wielce uradowanego, że znalazł wspólnika wyprawy. Paliło mię niezwykłe pragnienie poznania tych nowych dla mnie terenów, wglądnięcia wreszcie w głąb górskiego świata Szkocji. Już poprzedniego dnia zaobserwowałem dziwne, niezwykłe zabarwienie stoków górskich. Las było widać tylko całkiem nisko w dolinie, na zboczach grzbietów natomiast nie spotykało się nietylko ani drzewa i krzewów, lecz nawet

---

*) We wrześniu 1896 r. odbył ś. p. Marjan Smoluchowski kilkutygodniową wycieczkę po górach i wyspach szkockich, z której wrażenia i spostrzeżenia ujął w odczycie, wygłoszonym dnia 3 marca 1899 r. w kole członków wiedeńskiej Sekcji Akademickiej Niem.-austrjackiego Tow. Alpejskiego. Z odczytu tego podajemy na tem miejscu, w polskim przekładzie, najciekawsze i najpiękniejsze fragmenty. *Przyp. Red.*

i kosodrzewiny. Nie mogły to być również ani łąki, ani pastwiska, te bowiem są zielone, owo zaś zabarwienie terenu posiadało odrębny żółtobrunatny odcień, przypominający mi raczej Apeniny koło Florencji, tak jak się przedstawiają po skwarnem lecie, które całą trawę wypaliło.

Teraz wreszcie wyjaśniła się zagadka! Były to trzęsawiska: gąbczasty, mokry teren, pokryty gęstem poszyciem wrzosów, paproci zmieszanych z brunatnem sitowiem. Zupełny tu brak tego, co my nazywamy trawą lub ziołami polnemi; prawdziwe łąki napotkać można jedynie w dolinach w pobliżu miejscowości i osad ludzkich. Owa wegetacja wrzosów i paproci pokrywa wszystkie okoliczne góry. Z czasem przekonałem się, że ona właśnie nadaje ów odrębny charakter całej szkockiej krainie górskiej. Jedynie we wschodniej części kraju znajdują się nieliczne lasy, reszta jest całkiem łysa.

Jedna z niemiłych właściwości owych trzęsawisk wkrótce dała się nam we znaki: obfita zawartość wody w terenie. Dotąd sądziłem naiwnie, że bagna i moczary znajdują się przeważnie na nizinach, obecnie na własnej skórze przekonywałem się o fałszywości powyższej teorji: miałem wrażenie, że chodzę po nasyconej wodą gąbce, a im wyżej, tem gorzej było. Swoją drogą w znacznej mierze przyczyniało się do tego i niebo, dziwnie kapryśne, co z trudną do wiary szybkością zsyłało nagle ulewny deszcz, to jasnem słońcem zalewało cały krajobraz, to znowu rzęsistą ulewą zraszało ziemię... i tak na przemian. Mój angielski towarzysz nauczył mię nowej taktyki turystycznej: posuwania się naprzód w podskokach. Skoro tylko deszcz poczynał lać strumieniami, otulaliśmy się naszemi płaszczami gumowemi, chroniąc się popod blok skalny lub poza fałd terenu, osłaniający nas przed wichrem. Zazwyczaj ulewa nie trwała dłużej, niż 5—10 minut, poczem mogliśmy spokojnie dalej wędrować. W ten sposób ubrania nasze pozostały względnie suche. Tuż przed samym wierzchołkiem przetrwaliśmy potężny grad; wreszcie, drżąc i szczękając zębami z zimna stanęliśmy na szczycie.

W tych warunkach nie można było tak rozkoszować się widokiem, jak tego pragnęliśmy. Na zawsze jednak pozostanie mi w pamięci obraz ciągnącego się w dole czarno-błękitnego jeziora Loch Lomond z jednej, a sielankowo położonego i lasami obrzeżonego jeziora Katrine z drugiej strony, oraz odsłaniającej się w dalach północy całej gmatwaniny ostrych, o kształtach przeróżnych, grani i szczytów.

Towarzysz mój powrócił tą samą drogą, samotny więc zacząłem schodzić w dół skalistą, pn.-zach. granią, gdzie — przy dobrych chęciach — nawet spaść można było, a potem poprzez nieskończenie rozmokłe, bagniste trzęsawiska ku jezioru...

. . . .

... O godzinie 6-tej rano odchodził parowiec, mający mię zawieźć do Fort William, miejscowości, skąd wyruszają wszystkie wyprawy na Ben Nevis, najwyższy szczyt całej Wielkiej Brytanji. Przebudzony zbyt późno,

z szalonym pospiechem wdziałem ubranie i, nie jedząc śniadania, popędziłem ku przystani, do której w ostatniej ledwie chwili zdążyłem.

Owego dnia sprzyjało nam całkiem wyjątkowe szczęście: nad nami wisiało lazurowe, bezchmurne niebo, lekki wietrzyk przybiegał od morza, a czyste, przeźrocze powietrze pozwalało na rozróżnienie najdrobniejszych szczegółów krainy gór, wznoszących się wysoko na północy, poza jeziorem Linnhe.

Lawirując między licznemi okrętami, stojącemi w zacisznej zatoce na kotwicy, przeciskaliśmy się zwolna ku wąskiej cieśninie obok wyspy Kerrera. Przejechaliśmy koło potężnej, wyniośle i stromo wznoszącej się skały, zwanej Słupem Psa (»Dog's Pillar«), do której ongiś król Fingal zwykł był swego psa przywiązywać. Potem minęliśmy piękne, całe bluszczem otulone ruiny zamku Dunoblic: niebawem zginęły nam całkiem z oczu miłe domki i wille miasteczka Oban i wpłynęliśmy poza wielki złom skalny, skąd już pełną parą okręt zdążał na północny-wschód...

Było około 10 godz. przedpoł., gdy przybyłem do Fort William. Nie zatrzymując się dłużej, zaraz puściłem się w drogę na Ben Nevis. Wejścia na Ben Nevis nie mogę zaliczyć do wielkich czynów alpinistycznych, a także całą drogę można pokrótce opisać: na sam szczyt prowadzi wygodna, utorowana droga konna, której trudność jest czysto przedmiotowej natury: trzeba bowiem zapłacić 1 szylinga za jej użycie!

Na szczycie znajduje się zagospodarowane schronisko, zwane szumnie hotelem »Ben Nevis«, a połączone z małem obserwatorjum meteorologicznem. Oparłem się pokusie wstąpienia do »hotelu« i poprzestałem na platonicznem rozkoszowaniu się wspaniałym widokiem z pokrytej śniegiem tarasy obserwatorjum.

Miałem zaiste poważny powód do radości. Należałem do tych wybrańców losu, którym dane było mieć z wierzchołka Ben Nevis czysty, rozległy widok, bo zresztą góra ta słynie z mgieł i chmur, w które jej szczyt jest zwykle spowity.

Widok jest istotnie wspaniały! Na południu, wschodzie i północy — daleki, rozległy kraj gór, plątanina szeroko ciągnących się łańcuchów, stromo wznoszących się stożków i czub, o delikatnem, typowem zabarwieniu zielonkawo-brązowem na pierwszym planie, a w oddali przesnutych delikatną mgłą; między niemi rozsiane całe mnóstwo ciemno-błękitnych, wydłużonych jezior wysokogórskich. Tuż obok, ku północy, głęboko werznięta, zielona dolina, przecięta wzdłuż kanałem Kaledońskim. W kierunku zachodnim widok całkiem odmienny: bezkreśne morze wgryzające się głęboko w ląd podobnemi do fiordów zatokami i odrywające od niego niezliczoną ilość wysepek...

Jeszcze raz rzuciłem okiem wokrąg, by sobie najdokładniej utrwalić w pamięci ten dziwny, melancholijny, a przytem tak wspaniały krajobraz i pędem prawie puściłem się z powrotem tą samą drogą ku Fort Wiliam.

. . . .

... Ufając kompasowi i mapie okolicy, którą przypadkowo miałem ze sobą, podczas gdy reszta pasażerów poszła ku jezioru Loch Cornish, zacząłem w ukośnym kierunku wdzierać się na zbocza leżącej naprzeciw góry. Oniemiały z podziwu stanąłem jak wryty, ujrzawszy nagle leżący u mych stóp kocioł wspomnianego jeziora. Jedynie z Morskiem Okiem i Czarnym Stawem w Tatrach mógłbym tę imponującą scenerję porównać. Ale ten widok był jeszcze wspanialszy!

Dziwny jest kontrast pomiędzy Loch Scavaig a Loch Cornish: pierwszy dzięki swej przejrzystej wodzie i jasnym falom, a również wskutek otwartego na szerokie morze widoku sprawia o wiele weselsze wrażenie, drugi, Loch Cornish, wygląda groźnie, posępnie i imponująco.

Z ponad jego czarno-błękitnych, cichych i gładkich jak zwierciadło toni wznoszą się ponuro masywy skalne, u góry przyprószone śniegiem i stapiające się z chmurami w jedną całość. Długo jeszcze byłbym stał w podziwie, gdyby mi nie dźwięczały w uszach przestrogi przed bagnistą doliną Sligachan; także i w przewodniku znajdowało się ostrzeżenie, by się tam nie dać ciemnościom zaskoczyć.

Począłem więc dalej wspinać się na graniczny grzbiet górski, a stamtąd znów ku dołowi w ciągnącą się daleko dolinę Glen Sligachan. Słuszność mieli ci, co mię przestrzegali. Zabłądzenie tam musi być fatalnem! Dzięki specjalnemu jakiemuś zmysłowi, czy jakby instynktownemu węchowi orjentacyjnemu, ani razu nie zeszedłem z drogi, której śladów często nawet rozróżnić nie można było, a mimo to nieraz byłem w wielkiej wątpliwości, czy naprawdę znajduję się na ścieżce, czy też może w łożyskn potoku albo w błotnistej kałuży — a kiedy wreszcie po wielogodzinnej wędrówce dotarłem szczęśliwie do gospody w Sligachan, byłem od góry przez rzęsisty deszcz do nitki przemoczony, od dołu zaś aż po pas obryzgany błotem i bagienną wodą.

Gospodarz dał mi ubranie do zmiany i wkrótce dobra, obfita wieczerza zgromadziła dokoła stołu — prócz mnie — także i innych gości, którzy tu, rzecz oczywista, inną, łatwiejszą drogą przybyli. Dowiedziałem się od nich, że w tym świecie górskim alpiniści mogą znaleźć całkiem interesujące zagadnienia do rozwiązania. Znany alpinista Freshfield dokonał tu kilku pierwszych wyjść, a w przedsionku hotelu wisiała nawet prawdziwa, całkiem przepisowa lina ratunkowa oraz taryfa przewodnicka. Co więcej, dowiedziałem się nawet, że przed paru laty jeden z turystów spadł ze szczytu Sgurr-na-Gillean i zabił się, co oczywiście znacznie powiększyło mój szacunek przed temi górami.

Wogóle ów Sgurr-na-Gillean wydawał się najbardziej interesującym wierzchołkiem. Nazywają go nawet »Szkockim Matterhornem«, pokazywano mi fotografję zębatej jego grani, której naprawdę niejeden ze szczytów w Dolomitach mógłby pozazdrościć. Odrazu postanowiłem wyspinać się nań, tylko że wierch przez cały dzień zakrywały chmury, nie mogłem przeto wyrobić sobie poglądu na sposoby wyjścia. Jakkolwiek

i nazajutrz było podobnie, nie dałem się łatwo zniechęcić: z kilku fotografij i wzmianek w mym przewodniku wywnioskowałem, że należy szczyt okrążyć od lewej strony, by dostać się na jego południową grań. Plan ten okazał się istotnie trafnym.

Poprzez trzęsawiska dotarłem do właściwego trzonu skalnego szczytu i trawersowałem w południowym kierunku aż do miejsca, gdzie gładkie płyty przechodzą w zadzierzysty teren, tak, że bez większego trudu wydostałem się na południową grań. Przekonałem się tutaj, sądząc z kilku kamiennych kopczyków i śladów podkutych butów, że jestem na właściwej drodze. Teraz nastąpiło miłe drapanie się wzdłuż grani, które napełniło mię prawdziwą rozkoszą, była to bowiem w owym roku pierwsza rzetelna wspinaczka. Trudności nie były zbyt wielkie — nie większe niż na zwykłej drodze na Feldkopf, ale i za to należała się losom wdzięczność.

Około 1-szej godziny stanąłem wreszcie na szczycie, skąd zapewne musiał się roztaczać wspaniały widok nietylko w dal, lecz i na najbliższe, imponujące otoczenie. Mówię »zapewne«, sam bowiem ujrzałem tylko nieco z owych przeczuwanych piękności, gdy na chwilę mgły się rozdarły i ukazały poprzez morze ląd stały. Inne wierzchołki i owa poszarpana grań, co mię tak zaciekawiała, pozostały zasłonięte...

Marjan Smoluchowski.

Jerzy Żuławski.

W szeregu ludzi, sercem i działalnością z Tatrami związanych, których los u progu Odrodzenia wydarł z pośród nas bez powrotu, do strat najboleśniejszych należał zgon śp. Jerzego Żuławskiego, ofiary tyfusu, w rozjazdach wojennych nabytego. Oto w zmarłym odszedł nietylko taternik w wyprawach skalnych nad wszystko rozmiłowany, majestatu gór wielbiciel głęboki, Sekcji Turystycznej przyjaciel szczery i serdeczny, ale i jeden z wielkich Polski współczesnej pisarzy i poetów twórca w dramacie, powieści, studjum krytycznem i filozoficznem wszechstronnie czynny, obywatel budowie ojczyzny bez zastrzeżeń oddany.

Wyniósłszy z zarania młodości zapał do włóczęg i przygód niezwykłych, Żuławski od pierwszego zetknięcia się z górami został ich gorącym wyznawcą i miłośnikiem. Do Alp, w oblicze olbrzymów berneńskiej wyżyny zawiodły go w r. 1893 studja uniwersyteckie, poznanie Tatr rozpoczął w r. 1895 przejściem Zawratowej przełęczy i odtąd coraz częściej do nich powracał, aż w r. 1910 u ich podnóża na stałe się osiedlił.

Urok złomisk tatrzańskich olśnił go swym czarem — jak tylu innych naszych poetów — dał temu pełen entuzjazmu wyraz w twórczości, ale naturze jego, bujnej i do czynu się prężącej, nie wystarczało bezoso-